

## **Selim Kryczyński**

### **Wyprawa do Japonii**

W sierpniu 1988 odbyłem swoją największą samodzielną podróż zagraniczną do Japonii. Zostałem zaproszony na 2nd Meeting of International Plant Viroid Working Group do Kofu w prefekturze Yamanashi. Zaproszenie zawdzięczałem chyba temu, że Grupa powstała dwa lata wcześniej w znacznej mierze z mojej inicjatywy. W podróży do Japonii wszystko od początku układało się kiepsko. Nie wiem dlaczego, ale były jakieś problemy z japońską wizą. Ambasadę Cesarstwa Japonii w Warszawie odwiedzałem parokrotnie. W końcu wizę dostałem, ale w takim terminie, że byłem już o jeden dzień spóźniony z wyjazdem. Formalności związane z podróżą załatwiał mi odpowiednie biuro SGGW. Miałem bilet na przelot do Delhi samolotem PLL „Lot” i dalej do Tokio samolotem „Air India”. W Delhi miałem kilka godzin oczekiwania na przesiadkę i upewniłem się, że będę mógł trochę pozwiedzać miasto. Lot do Delhi był długi z międzylądowaniem w Taszkencie. Port lotniczy w tym uzbeckim mieście wyglądał jak dworzec PKS w Grójcu. Przynajmniej tak prezentowała się ta poczekalnia tranzytowa, do której nas wypuszczono. Pomieszczenie jak w poczekalni dworcowej na prowincji z paroma zniszczonymi plastikowymi fotelikami. W barze prawie nic do kupienia, puste półki. Na jednej jakaś samotna butelka. Postój na szczęście trwał krótko, tyle ile trzeba było dla zatankowania sa-

molotu. Potem mogłem podziwiać z wysokości piękne, góryste krajobrazy Hindukszu i Karakorum i wreszcie, po długim locie wylądowaliśmy na lotnisku w Delhi.

Przeszedłem przez kontrolę. Walizki nie odbierałem, bo była nadana w Warszawie do Tokio. Miałem ze sobą tylko podręczną torbę. Wiedząc, że mam dużo czasu (chyba z 5 lub 6 godzin) postanowiłem rzeczywiście skorzystać z okazji szybkiego zwiedzenia Delhi. Zanim jednak opuściłem lotnisko, postanowiłem upewnić się w kwestii mojej rezerwacji na lot do Tokio. Podeszedłem do odpowiedniego stanowiska, gdzie komputer obsługiwała stewardessa w sari i pokazałem swój bilet prosząc o sprawdzenie rezerwacji. Ku mojemu zaskoczeniu, pani odpowiedziała mi, że nie ma mnie na liście pasażerów. Pokazywałem jej odpowiednie wpisy na bilecie, tłumaczyłem, że to właśnie w przedstawicielstwie „Air India” w Warszawie załatwiano mi ten bilet. Nic nie pomagało. Pani trzymała się tego, że rezerwacji nie mam. Postanowiłem więc skontaktować się z przedstawicielstwem PLL „Lot”, bo to te linie przywoziły mnie do Delhi, a poza tym to rodacy. Dowiedziałem się, że nie mamy własnego biura na lotnisku w Delhi i gościnnie korzystamy z biura „Aeroflotu”. Poszedłem więc szukać tego biura. Wędrowka po lotnisku była dość przykra. Wszędzie pełno koczujących ludzi, często leżących pokodem na podłogach. Gorzej niż na polskich dworcach kolejowych w dużych miastach. Znalazłem w końcu biuro „Aeroflotu”, ale tam

powiedziano mi, że przedstawiciel PLL „Lot” jest przy odbiorze samolotu, którym właśnie przyleciałem. Skontaktować się z nim nie mogłem, bo straż graniczna nie chciała mnie wpuścić z powrotem na teren przylotów. W jakimś momencie zobaczyłem tego człowieka z daleka i poprosiłem żołnierza ze straży granicznej, by przekazał mu wiadomość, że muszę z nim rozmawiać. Pan wyszedł do mnie, obejrzał bilet i powiedział, że tu na miejscu nic nie może dla mnie zrobić, bo nie ma tu własnego biura ani komputera. Zaproponował, bym udał się do jego biura w mieście. Nie miałem nic przeciwko temu, bo i tak miałem zamiar udać się do miasta. Pan z „Lotu” nie zaproponował mi, że zabierze mnie ze sobą. Wziąłem więc od niego adres biura i zacząłem rozglądać się za transportem. Przed opuszczeniem lotniska zrobiłem jeszcze jedną rzecz. Poprosiłem przedstawiciela „Lotu”, by na wszelki wypadek zabezpieczył dla mnie możliwość powrotu do Warszawy samolotem, którym przyleciałem. Byłem i tak spóźniony o jeden dzień, nie mówiąc o tym, że nie miałbym pojęcia, jak dostać się z Tokio do Kofu. A ktoś miał na mnie czekać na lotnisku w Tokio odbierając mnie z lotu, na który wydawało mi się, miałem rezerwację.

Do miasta pojechałem czymś w rodzaju motorowej rikszy. Ruch uliczny w Delhi zrobił na mnie oszałamiające wrażenie. Być może obowiązują tam jakieś przepisy, ale albo nikt ich nie zna, albo nikt ich nie przestrzega. Wszyscy

donośnie trąbią i pchają się przed siebie. Szczęśliwie jednak dotarłem do miejsca, gdzie przedstawiciel „Lotu” miał swoje biuro. Niestety, nie zastałem go na miejscu. Urzędujący tam Hindus poinformował mnie, że ten pan wpadł tu z lotniska i udał się do innego swojego biura. Podobno biuro to mieściło się blisko. Hindus wyjaśnił mi, jak tam trafić piechotą. Niestety, biura tego nie odnalazłem. Podjąłem wtedy desperacką decyzję. Ponieważ pan z „Lotu” i tak spisał sobie wszystkie moje dane z biletu i obiecał sprawą się zająć, stwierdziłem, że moja obecność nie jest tam niezbędna. Postanowiłem zrealizować plan zwiedzania Delhi i powrócić o stosownej porze na lotnisko. Znalazłem wolną taksówkę, której kierowca mówił dobrze po angielsku. Zgodziliśmy się, że powozi mnie po różnych interesujących miejscach i odwiezie na czas na lotnisko. Należność obiecałem uiścić w jenach, bo była to jedyna obca waluta, jaką otrzymałem w Warszawie. Dla taksówkarza był to chyba dobry, choć nielegalny interes. I tak wyruszyłem na objazd Delhi.

Zobaczyłem miejsce, gdzie została zastrzelona w zamachu Indira Gandhi. Obejrzeliśmy jakąś okazałą świątynię zarówno wewnątrz, jak i od zewnątrz. Byliśmy w jakimś parku. Taksówkarz stanowczo zabraniał mi kupowania czegokolwiek do picia, czy jedzenia od ulicznych przekupniów. Mówił, że to grozi chorobą. Chronił mnie też skutecznie przed natarczywością żebrzących dzieci. Był bardzo sympatyczny. Mówił, że pochodzi z połu-

dnia Indii, z terenu tzw. republiki Kerała. Jakoś tak pod koniec tej wycieczki zawiózł mnie do dzielnicy urzędów państwowych, gdzie stały rzeczywiście okazałe gmachy. Powiedział, że nie wolno mu się tutaj zatrzymywać. Ja, jeśli chcę to obejrzeć, powinienem wysiąść i obejść plac dookoła. On tymczasem będzie jeździł w kółko i zabierze mnie, jak tylko go przywołam. Wysiadłem z taksówki zostawiając w niej torbę, w kieszeniach której były moje pieniądze i moje dokumenty. Znalazłem się więc na ulicy bez pieniędzy i bez papierów, co uświadomiłem sobie dopiero widząc ruszający pojazd. Kierowca jednak okazał się uczciwy i nie odjechał w siną dal z moimi rzeczami. Czas był już wracać na lotnisko. Kawalek przed lotniskiem taksówkarz poprosił mnie, bym mu zapłacił, bo na postoju na lotnisku jest policja i nie będzie mógł przyjąć ode mnie jenów. Zapłaciłem mu i bardzo mu podziękowałem za interesującą wycieczkę po Delhi.

Na lotnisku czekała mnie miła niespodzianka. Przy komputerze urzędował tym razem jakiś mężczyzna, który obejrzawszy mój bilet i sprawdziwszy dane w komputerze potwierdził moją rezerwację na lot samolotem „Air India” do Tokio. Być może pani która wcześniej nie umiała tej rezerwacji odnaleźć po prostu nie знаła się na swojej pracy. Być może, że wyjaśnił coś pan z „Lotu”. W każdym razie okazało się, że mogę wsiadać do samolotu do Tokio, muszę jednak wcześniej uiścić opłatę lotniskową. Zapłaciłem

w jenach, tym razem legalnie i dostałem resztę w rupiach. Skorzystałem też z wodopoju na lotnisku, bo bardzo chciało mi się pić, a także z toalety, po tych paru godzinach wałęsania się po Delhi.

Byłem bardzo zadowolony, że wszystko się wyjaśniło, ale przy odprawie pasażerów okazało się, że to nie koniec moich przygód na lotnisku w Delhi. Kiedy podałem pani odprawiającej pasażerów mój bilet zapytała mnie o bagaż. Pokazałem jej podręczną torbę, którą miałem ze sobą i powiedziałem, że mam jeszcze walizkę, która została w Warszawie nadana do Tokio, a więc nie odebrałem jej z samolotu „Lot” po wylądowaniu w Delhi. Wyjaśniłem jeszcze, że specjalnie pytałem o to w Warszawie i uzyskałem odpowiedź, że bagaż nadany jest już do samego Tokio i w Delhi służby lotniskowe zajmą się przenoszeniem go. Pani na mnie nakrzyczała, że jest to niemożliwe i powinienem być odebrać swój bagaż. Chwilę rozmawiała o czymś przez telefon w języku hindi, po czym przyszedł strażnik uzbrojony w broń krótką. Pani poleciła mi udać się z tym strażnikiem na poszukiwanie bagażu. Człowiek ten przekazał mnie po drodze innemu strażnikowi uzbrojonemu już w pistolet maszynowy. Ten wyprowadził mnie na płytę lotniska i zaprowadził do wózka bagażowego stojącego w pewnej odległości od budynku. Na wózku tym leżała moja walizka. Żołnierz kazał mi ją otworzyć i dopiero po zapoznaniu się z zawartością pozwolił mi walizkę zabrać. Eskortujący mnie żołnie-

rze zachowywali się dość nieprzyjaźnie. Widocznie podejrzewali, że chciałem walizkę z bombą zdetonować na lotnisku w Delhi albo umieścić na pokładzie samolotu do Tokio.

Wreszcie udało mi się dostać na pokład samolotu do Tokio i polecieliśmy. Kiedy podano posiłek, stwierdziłem, że nie przewidziano w nim żadnego alkoholu. Tymczasem, po tych wszystkich przejściach miałem ochotę coś sobie łyknąć. Stewardessa wyjaśniła mi, że mogę dostać alkohol za dodatkową opłatą. Nie pamiętam już, czy rupie nie były tam akceptowane (jak kiedyś polskie złotówki na pokładzie tss „Stefan Batory”), czy też miałem ich za mało. W każdym razie znów płaciłem w jenach i to jakimś sporym nominałem. Niestety, przed końcem lotu musiałem upomnieć się o resztę, a było tego znacznie za dużo jak na napiwek. Samolot „Air India”, którym leciałem do Tokio miał międzylądowanie w Bangkoku. Wypuszczono nas do strefy tranzytowej, tak jak w Taszkencie, ale tu lotnisko było imponujące. Większe chyba i robiące wrażenie bogatszego niż Schiphol w Amsterdamie. Kupiłem sobie chyba coś do picia płacąc w jenach i resztę otrzymałem w walucie tajskiej. W Tokio wylądowaliśmy jakoś późnym rankiem albo wczesnym przedpołudniem. Na lotnisku zgodnie z umową czekał na mnie młody człowiek z transparentem z moim nazwiskiem. Nie miałem więc żadnego kłopotu z odnalezieniem go. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się Oshima i był dok-

torantem profesora Eishiro Shikata, głównego organizatora imprezy. Poczekał jeszcze chwilę na kolejny samolot, który przywiózł również spóźnionego Chińczyka i udaliśmy się w podróż do Kofu. Jechaliśmy o ile pamiętam autobusem, bardzo wygodnym przez bardzo piękne tereny. W pamięci pozostały mi piękne góry pokryte świerkami, albo podobnymi do świerków drzewami o ciemnozielonym igliwiu.

Sam pobyt w Kofu był nadzwyczaj udany i nadzwyczaj sympatyczny. Przyjechaliśmy akurat w czasie przerwy na lunch już po pierwszej części konferencji. Uczestnicy przechodzili właśnie z sali konferencyjnej na lunch i byli na zewnątrz budynku, kiedy podjechaliśmy tam. Natknąłem się natychmiast na dobrze mi znanych Teda Dienera i Rudrę Singha, którzy mnie entuzjastycznie przywitani. Poszedłem się zakwaterować i zaraz potem zszedłem na lunch. Całe szczęście, że byłem już na miejscu, bo na popołudniowej sesji przewidziana była moja prezentacja. Zdążyłem więc przedstawić swój referat.

Na konferencji spotkałem również innych znajomych, w tym pracujących od lat za granicą znanych w świecie wirusologów polskiego pochodzenia. Przede wszystkim spotkałem Profesora Ryszarda Franckiego. Ryszard Ignacy Bartłomiej Francki, znany wirusologom na całym świecie jako Richard I.B. Francki, urodził się 10 września 1930 roku w Warszawie, a dzieciństwo spędził, jako syn oficera

Marynarki Wojennej, w Gdyni. Ojciec Ryszarda, komandor Wojciech Francki przed wybuchem II Wojny Światowej umieścił rodzinę w Hereford w Anglii, a sam pływał po morzach i oceanach jako dowódca polskiego niszczyciela ORP „Burza”. Po wojnie komandor Francki osiadł z rodziną w Auckland w Nowej Zelandii, gdzie młody Ryszard kształcił się na wirusologa pod okiem światowej sławy wirusologa, prof. R.E.F. Matthews, autora najlepszego na świecie podręcznika wirusologii roślinnej. Sam Ryszard Francki pracował w Waite Agricultural Research Institute w The University of Adelaide w Glen Osmond, w Południowej Australii. Osiągnął w środowisku wirusologów szczyty. Polskę odwiedzał kilkakrotnie. Zupełnie dobrze mówił po polsku, choć, kiedy wykladał, brakowało mu czasem fachowych terminów. Zawsze był bardzo pomocny. Otrzymałem od Niego, podobnie jak inni polscy wirusolodzy, parę cennych książek i wiele cennych rad. Znałem go wcześniej z pobytu w Polsce. Niestety, Profesor Francki zmarł przedwcześnie, przeżywszy zaledwie 60 lat - 14 listopada 1990. Spotkałem też Profesora Karla Maramorocha. Ten, z kolei, przyszedł na świat w Wiedniu w 1915 roku w rodzinie polskich Żydów. Wychowywał się w Kołomyi, a w 1938 roku skończył studia rolnicze w SGGW. Losy wojenne rzuciły go do USA, gdzie pracował jako entomolog i wirusolog (zajmował się głównie powiązaniami owadów z wirusami) w różnych instytucjach, głównie w Rutgers University w stanie New Jersey. Znał biegle pol-

ski, niemiecki, angielski, rumuński i hebrajski (a zapewne też jidysz?). Była to bardzo barwna postać. Lubił popisywać się dowcipami, a nawet śpiewał. Widziałem go w tej roli na zjeździe North Eastern Section of American Phytopathological Society w Syracuse w 1970 roku. Polskę też odwiedzał. Bardzo zależało mu na uzyskaniu doktoratu honoris causa SGGW. Przyznaję, że będąc w tym czasie Dziekanem Wydziału Ogrodniczego raczej odradzałem władzom SGGW podjęcie takich kroków. Profesor Maramorosch był wprawdzie też powszechnie znany w środowisku wirusologów, ale słynął przede wszystkim z licznych opracowań kompilacyjnych, rozmaitych książek pisanych (rozdziały) przez wielu różnych ludzi, które on redagował i firmował. Pracując w USA Profesor Maramorosch musiał zetknąć się z programem wymiany Church of the Brethren, ale, przynajmniej według mojej wiedzy, nigdy nie pracował w jego zespole żaden Polak z tego programu.

Przy różnych okazjach (referaty, dyskusje, wspólne posiłki) poznawałem też bliżej rozmaite osobistości znane mi jako autorzy przeczytanych publikacji. Pamiętam, na przykład, jak kiedyś przysiadł się do mojego stolika przy lunchu pan mówiący po angielsku z dość twardym akcentem, co mnie nie zdziwiło, kiedy zobaczyłem plaketkę z nazwiskiem Detlev Riesner. Profesor Riesner jest, obok prof. Heinza Ludwiga Sängera i prof. Grossa najwybitniejszym przed-

stawicielem niemieckiej grupy badaczy wiroidów.

Pobył w Kofu był sympatyczny. Sama miejscowość leży między malowniczymi górami, w dość obszernej kotlinie. Krajobrazy były wspaniałe. Pokój w hotelu był bardzo wygodny. Jedzenie było dobre i niekoniecznie trzeba się było ograniczać do kuchni japońskiej, która mnie nie odpowiada. Smakowało mi wprawdzie kiedyś w Ithaca sukiyaki, natomiast nie przepadam za surową rybą. W hotelu przeżyłem też raz drobną przygodę. Kolega Oshima, ten który pilotował mnie z Tokio do Kofu, zaprosił mnie na wizytę do swojego pokoju. Kiedy zjechałem windą na odpowiednie piętro, okazało się, że drzwi pokoiów oznaczone są japońskimi znakami. Zjechałem więc do recepcji i wyłuszczyłem swój problem. Pani narysowała mi na kartce znak odpowiedni do numeru pokoju zajmowanego przez kolegę Oshima i jakoś trafiłem! Okazało się, że hotel miał dwa piętra urządzone po japońsku. Zaraz za drzwiami wejściowymi do pokoju trzeba było zdjąć buty i po paru schodkach wchodziło się na wysłaną matą podłogę. Siedziało się po japońsku, na tej podłodze na własnych nogach.

Atrakcjami były rozmaite wycieczki. Oglądaliśmy, na przykład, sad, w którym widziałem japońskie odmiany śliw rodzące owoce wielkości sporej brzoskwi- ni. Widziałem uprawę winorośli pod szkłem, gdzie każde winne grono osłonięte było osobnym kloszem papierowym dla ochrony przed zwilżeniem sprzyjającym

infekcji przez grzyby. Byłem na przyjęciu w dużym browarze firmy Kirin Brewery. Firma ta była głównym sponsorem konferencji, jako że wiroidy chmielu są w Japonii sporym problemem, a przemysł browarniczy należy podobno do najlepszych w świecie. Po zwiedzeniu części browaru posadzono nas przy stolikach, zaopatrzone w firmowe, jednorazowe fartuszki-śliniaczki i poczęstowano dobrym jedzeniem i dobrym piwem. Byliśmy też na dalszej wycieczce, nad jeziorem leżącym u podnóża Fujiyamy.

Trudne było natomiast przyjęcie pożegnalne. Podano tam typową japońską surową rybę. Dla mnie jest to paskudna odmiana gumy do żucia. Zaraz po tym przyjęciu dowiedziałem się też, że mogę mieć kłopoty w drodze powrotnej. Wszyscy uczestnicy konferencji bezpośrednio po jej zakończeniu udawali się do Kioto na Światowy Kongres Wirusologiczny. Ja nie byłem uczestnikiem tego Kongresu, bo wpisowe kosztowałoby za dużo w dewizach. Może to wprawdzie głupota, by wydać takie pieniądze na podróż, a pożalować na wpisowe, ale tak się stało. Zaraz po przyjęciu pożegnalnym Oshima zadzwonił gdzieś, by się upewnić, co do organizacji mojego powrotu. Zdaje się, że moi gospodarze byli z powodów, o których przed chwilą pisałem, z lekka zaskoczeni tym, że wracam do Polski, a nie jadę do Kioto. I wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się, że aby wrócić do kraju zaplanowaną trasą, muszę mieć wizę tajlandzką. Tym razem miałem bilet

na przelot japońskimi liniami do Bangko-ku, gdzie miałem się przesiąść na samolot PLL „Lot” do Warszawy. Okazało się, że jest przepis, który wymaga wizy tajlandzkiej, kiedy na przesiadkę w Bangko-ku czeka się dłużej niż godzinę. Osoby załatwiające moją podróż albo o tym nie wiedziały, albo zapomniały, albo zlekceważyły. Miałem czekać w Bangkoku prawie 2 godziny, a więc musiałem mieć wizę. W piątek wieczorem Oshima odwiózł mnie do Tokio i pomógł zakwaterować się w hotelu. Odlot miałem w niedzielę rano. Oshima, ani nikt z organizatorów konferencji wiroidowej nie mógł już nic więcej dla mnie zrobić. Dostałem trochę jenów na te dwie noce w hotelu i na wyżywienie i rozstaliśmy się z wiarą, że jakoś sobie poradzę.

Zanim przejdę do relacji z przygód w podróży powrotnej, napiszę coś o samym hotelu. Pierwszy raz zetknąłem się tam z drzwiami otwieranymi kartą, a nie kluczem. Pokój był wielkości przedziału kolejowego, ale wyposażony we wszystko co trzeba. Był prysznic, umywalka i sedes w miniaturowej łazience. Było wygodne łóżko zajmujące całą długość pokoju. Była nawet jednorazowa piżama, gdybym nie miał swojej. Było malutkie biurczko-blacik, na którym można było położyć książkę i mały fotelik przy tym biurczku. Była też lodówka, w której chłodziły się różne trunki (whisky, wino, piwo) i napoje chłodzące. Wyjęcie puszki lub flaszeczki z lodówki powodowało sygnał do recepcji, która natychmiast doliczała rzecz

do rachunku. Na szczęście, informacja o tym była umieszczona na widocznym miejscu na lodówce. Na korytarzu był natomiast bezpłatny wodopój, a także źródło bezpłatnej, zimnej herbaty, co uratowało mi życie. Najbardziej rozbawił mnie punkt regulaminu hotelowego, który zabraniał organizowania spotkań biznesowych w pokoju hotelowym, informując równocześnie, że do tego służą specjalne sale, które można wynająć. Jedyne spotkanie, które ewentualnie mógłbym zmieścić w tym pokoiku, to spotkanie z prostytutką, a i to pod warunkiem, że położyłaby się na łóżku zanim ja mógłbym wejść do pokoju!. Trochę też oszukałem się na pierwszym śniadaniu w sobotę. Informacja w hotelu głosiła, że mogę zjeść śniadanie typowo japońskie, czego wolałem nie ryzykować pamiętając o surowej rybie. Mogę też zjeść śniadanie w stylu angielskim, albo w stylu kontynentalnym. Przyznam się, że nie bardzo wiedziałem, co to znaczy, a objaśnień żadnych nie było. Światowiec by wiedział! Ponieważ nie jestem mieszkańcem Wysp Brytyjskich, a jestem mieszkańcem kontynentu europejskiego, rano w sobotę udałem się do lokalu serwującego śniadania kontynentalne. Dostałem kawę i croissanty i wtedy dopiero przypomniały mi się te francuskie śniadania z czasu pobytu w Paryżu w 1962 roku! Wróciłem do pokoju głodny i zły. Humoru mojego nie poprawiły kolejne rozmowy. Japońskie linie lotnicze, które miały mnie dowieźć do Bangko-ku potwierdziły konieczność posiadania tajlandzkiej wizy. Nie pomogło

tłumaczenie, że to nie ich zmartwienie i niech mnie tam wysadzą, a ja już sobie dalej poradzę. Próbowałem im nawet wytłumaczyć, że z pewnością pomoże mi przedstawiciel PLL „Lot”, który w Bangko-ku będzie. Na wszystko słyszałem jedną odpowiedź: bez tajlandzkiej wizy nie weźmiemy na pokład!

Wtedy przypominałem sobie, co powinien zrobić Polak, który w obcym kraju znajdzie się w kłopotcie i udałem się do Ambasady PRL w Tokio. Recepcja hotelowa mniej więcej ustaliła, gdzie to jest. Okazało się, że taksówkarz wie, a jenów mam dosyć, by odbyć tę trasę taksówką. Wtedy to zetknąłem się też z pewną osobliwością Tokio, czy w ogóle Japonii. Otóż nie ma tam adresów w naszym rozumieniu, to znaczy ulicy i numeru posesji. Nie bardzo wiem, jak trafiają do adresatów listy, ale to nie mój problem. Taksówkarz w każdym razie dowiódł mnie pod polską ambasadę bez problemu. Była sobota, weekend i w ambasadzie był tylko dyżurny pan. Przedstawił się, oczywiście, ale dziś już nie pamiętam jego nazwiska. Człowiek ten był bardzo życzliwy i bardzo starał się mi pomóc. Znalazł numer telefonu do konsulatu tajskiego w Tokio, ale tam automatyczna sekretarka poinformowała nas, że jest weekend, konsulat nie pracuje i będzie im miło, jeśli zadzwonimy w poniedziałek. Tymczasem ja musiałem lecieć w niedzielę rano, bo taką miałem rezerwację. Można byłoby spróbować ją przełożyć na wtorek i w poniedziałek próbować załatwić tajską wizę, ale

nie miałem jenów na pobyt aż do wtorku w Tokio. Pan z ambasady odnalazł więc nawet prywatny numer pani konsul Tajlandii w Tokio. Ktoś odebrał tam telefon i poinformował nas, że pani konsul wyjechała na weekend i będzie w konsulacie w poniedziałek rano. I wtedy ten pan z ambasady przypomniał sobie, że wprowadzie PLL „Lot” nie ma pasażerskich połączeń z Tokio, ale ma tu przedstawiciela, który obsługuje cargo, to znaczy loty towarowe. O ile sobie dobrze przypominam, ten pan, to znaczy przedstawiciel „Lotu” w Tokio nazywał się Tomaszewski. Pan z ambasady miał do niego numer do biura i do domu. Niestety, żaden z tych numerów nie odpowiadał. Po kilku próbach wziąłem od pana z ambasady te numery tłumacząc mu, że równie dobrze mogę tam sam dzwonić z hotelu. Pan z ambasady poinformował mnie jeszcze, że w razie krytycznej sytuacji, jakiś kąć do spania i herbata znajdzie się dla mnie z pewnością, więc do wtorku mogę dotrzeć. Wytłumaczył mi też bardzo dokładnie, jak mam dojechać metrem do swojego hotelu, a nawet odprowadził mnie na stację metra i wsadził do odpowiedniego pociągu. Pan z ambasady powiedział, że kiedy wysiądę na wskazanej stacji i wyjdę na powierzchnię, zobaczę swój hotel. A wiedziałem, że go rozpoznam, bo miał na samej górze wielki napis z nazwą. Wysiadłem na trzeciej, czy czwartej stacji, według wskazówek miłego pana z ambasady i zacząłem rozglądać się za wyjściem. Niestety, wszelka informacja była pisana „robaczkami”. Posta-

nowilem więc, zgodnie z dobrze sprawdzoną praktyką, iść za ludźmi. Oni przecież też chcą stąd wyjść. Tymczasem idący ludzie wchodzili po trochu do sklepów, które stanowiły nieprzerwany ciąg przy peronie i w końcu zostałem sam na końcu peronu. Przede mną widać było tylko jakiś plac z ciężarówkami. Wróciłem więc, postanowiłem wejść do któregośkolwiek sklepu i zapytać, jak stąd można wyjść. Myśl była dobra, bo natychmiast, kiedy wszedłem do sklepu, nie musiałem już o nic pytać, bo wyjście na zewnątrz było widoczne. Oszczędni i przestrzennie i czasowo Japończycy widocznie uznali, że wyjść z metra można przez sklep, to i zakupy się przy okazji robi!

Hotel rzeczywiście zobaczyłem i do pokoju trafiłem bez kłopotu. Nabrałem sobie zimnej herbaty z wodopoju na korytarzu do szklanki i wziąłem się do telefonowania. Chyba już za pierwszą próbą telefon odebrała żona pana Tomaszewskiego i poinformowała mnie, że mimo weekendu mąż udał się do biura. Podała mi namiary i znów taksówka mnie tam zawiozła. Pan Tomaszewski okazał się równie uprzejmy, jak pan z ambasady. Powiedział, że nic nie może poradzić na wizę tajską, ale może spróbować zmienić mi bilet na trasę przez Moskwę, a do Moskwy mam też samolot w niedzielę rano i z pewnością złapię tam połączenie do Warszawy, a wizy nie trzeba. Popukał trochę w klawiaturę komputera i sprawa została załatwiona. Byłem mu bardzo wdzięczny i nie miałem zupełnie czym się

zrewanżować. Na dodatek pan Tomaszewski poradził mi jeszcze, żebym po drodze obejrzał sobie ogrody cesarskie, które znajdują się tuż obok. Zrobiłem to, choć dość pobieżnie. Byłem za bardzo przejęty tym, że sprawa wreszcie zaczyna się klarować. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po wejściu do hallu recepcji hotelu, w którym mieszkalem zobaczyłem pana Tomaszewskiego. Okazuje się, że przywiózł mi moje bilety lotnicze, które z tej emocji po prostu zostawiłem u niego!!! Dobrze, że w rozmowie wymieniałem nazwę hotelu, w którym mieszkam. Mój dług urósł.

Poszedłem spać, a przed snem pozwoliłem sobie wyciągnąć z lodówki jedną whisky, żeby wypić za pomyślne zakończenie kłopotów. Oczywiście, doliczono mi to do rachunku, ale jeszcze mi starczyło jenów. Na śniadanie tym razem udałem się tam, gdzie podawano śniadanie w stylu angielskim. Najadłem się do woli jajek na bekonie z tostami. Mogłem nawet za to nie zapłacić, bo akurat śniadanie jadła tam jakaś grupa zorganizowana i kelner wziął mnie za członka tej grupy. Ale zapłaciłem. A potem wsiadłem w autobus i pojechałem na lotnisko Narita. W autobusie miałem okazję przejrzeć sobie specjalne pismo wydawane dla turystów zagranicznych. W jednym z tekstów wyjaśniano, na czym polegają znane powszechnie pracowitość i zdyscyplinowanie Japończyków. Autorzy tekstu twierdzili, że to pozostałości starej mentalności i że teraz wszystko to się zmienia. Miałem też

okazję podziwiać skrupulatność Japończyków jeśli chodzi o kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku. Chyba na kilometr przed lotniskiem autobus nasz został zatrzymany przez żołnierzy, czy policjantów. Wszyscy pasażerowie musieli opuścić autobus i przejść kilkadziesiąt metrów przechodząc w tym czasie przez bramki kontrolne. Sam autobus też został przeszukany. Kontrola powtórzyła się przed samym budynkiem odlotów. Wreszcie znalazłem się w samolocie „Aeroflotu” i odleciałem w kierunku Moskwy. Samolot ten leciał do Paryża i miał międzylądowanie w Moskwie. Pasażerowie byli prawie bez wyjątku Japończykami. Jest to naród, który intensywnie uprawia turystykę. I znów, podobnie jak w samolocie „Air India” do posiłku nie podano alkoholu. A ja tak miałem ochotę się napić z radości, że już lecę w stronę Warszawy. Miałem jeszcze pieniądze, ale cena podana przez stewardessę zaskoczyła mnie. Okazało się, że jest to cena za butelkę, a na kieliszki, czy nawet szklanki nie sprzedają. Kupiłem w końcu butelkę „Moskowskiej” z zamiarem poczęstowania sąsiadów. Sąsiedzi jednak odmówili, wobec czego, zdegustowany, schowałem butelkę do torby nie napoczętą.

Lot trwał około 10 godzin, ale ciągle jeszcze było tylko późne popołudnie, kiedy wylądowaliśmy na lotnisku Szeremietiewo. Był to jedyny w moim życiu raz, kiedy postawiłem nogę na rosyjskiej ziemi. Moi współpasażerowie lecący do Paryża przeszli do sali tranzytowej, a ja

przeszedłem, po kontroli biletu i paszportu do sali odlotów, gdzie miałem czekać chyba około godziny na samolot do Warszawy. Nie był to jednak koniec moich przygód. W jakimś momencie usłyszałem przez głośniki komunikat, że jestem imiennie wzywany do jakiegoś konkretnego pomieszczenia. Czekając tam na mnie pani w mundurze „Aeroflotu” w asyście pana ubranego podobnie poprosili mnie o bilet i paszport. Byłem zdziwiony, ale okazałem dokumenty. Wtedy pani powiedziała mi, że takiego rejsu do Warszawy nie ma. Dobrze, że byłem już zahartowany poprzednimi przejściami, bo nie dałem się zbić z tropu i spokojnie wyjaśniłem, skąd mam ten bilet i że sam byłem obecny przy tym, jak pan Tomaszewski wszystko załatwiał przez komputer. Coś tam jeszcze ode mnie chcieli i próbowali mnie skłonić, bym rozmawiał z nimi po rosyjsku. Pani powiedziała mi, że przecież jako Polak uczyłem się tego języka w szkole. Powiedziałem, że istotnie, ale dużo zapomniałem przez te lata i wolę posługiwać się angielskim, bo przynajmniej jestem pewien, że powiedziałem to, co zamierzałem powiedzieć. Coś tam zresztą próbowałem wydukać po rosyjsku, żeby dać próbkę swoich możliwości. Tymczasem ten pan czegoś szukał w komputerze i w końcu powiedział, że rzeczywiście, jest taki rejs, jak na moim bilecie i że jest to rejs dodatkowy. Sądzę, że to moje nietypowe dla Polaka imię spowodowało to przesłuchanie z powodu podejrzenia o islamski terrorizm. Mam powody, by tak myśleć.

Tak, czy inaczej o oznaczonej godzinie wystartowałem z Moskwy na pokładzie samolotu PLL „Lot” i późnym wieczorem znalazłem się na Okęcie. Dając słowo, że kiedy zszedłem po schodkach na płytę lotniska miałem ochotę jak Ojciec Święty Jan Paweł II uklęknąć i ucałować tę ziemię, na którą udało mi się powrócić. Obiecałem też sobie zawsze osobiście sprawdzać załatwione dla mnie rezerwacje. Wystosowałem też listy do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ambasady PRL w Tokio opisując, jak życzliwie pomógł mi dyżurujący wówczas w sobotę pracownik ambasady i dziękując za tę pomoc. Podobny list w sprawie życzliwości pana Tomaszewskiego wystosowałem do Dyrekcji PLL „Lot”. Jest to naprawdę wielka satysfakcja i przyjemność, kiedy człowiek spotka się z taką życzliwością. I tak zakończyła się moja japońska odyseja.

15 marca 2015